Rok IV.

Nr. 25. Nr. 25.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal czyli 1 złr. 50 cent.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

Ogłoszenia po $1^1/_2$ sgr. od drobnego wiersza.

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 20 czerwca 1874.

Xięgarnia K. Rejzner (Chotomski) ulica Wodna Nr. 15, na rogu Wielkich Garbar.

TREŚĆ: Wezwanie. — Opinja publiczna. — O paleniu zmarłych zamiast pogrzebu. (Dokończenie). — Nad Wisłą, — Na gruzach, Ranek i Wieczór, wiersze Władysława Kisielewskiego. — Tajemnicza szkatułka. Powieść osnuta na prawdziwém zdarzeniu. — Kilka szczegółów z życia codziennego Joachima Lelewela (Dokończenie.) — Skrzynka do listów. — Ogłoszenie.

Wezwanie.

Szanownéj Publiczności zwracamy uwagę — że od 1 lipca zaczyna się drugie półrocze — naszego pisma. Od liczby przedpłat przed pierwszym lipcá — zależeć będzie ilość egzemplarzów Tygodnika Wielkopolskiego, którą drukować będziemy. Prenumerata po pocztach c. k. wynosi kwartalnie sześć złotych polskich. Pp. Nauczycielom, Rzemieślnikom i studentom za pół ceny — skoro w naszéj xięgarni odbierać sobie zechcą, — zamiejscowych uprasza się o przysłanie o tyle więcéj, ile wynosi porto, t. j. na 13 numerów złoty polski więcéj.

Opinja publiczna.

We wydanéj przez nas, zapowiedzianéj broszurce: „Sprawa budowli teatru polskiego w Poznaniu“, rozbiorze odpowiedzi p. referenta Spółki akcyjnéj i członka Rady Nadzorczéj — p. Franciszka Dobrowolskiego na nasz artykuł w Nr. 21 niniejszego pisma — odwołaliśmy się do sądu Opinji publicznéj.

Prasa nasza tutejsza zbywa nasz głos — milczeniem, — a popyt o nasze pisemko jest — bardzo słaby.

Pozorowo tedy — opinja publiczna byłaby przeciw nam.

> Nie tenci żeglarz, co płynie po wodzie
> Nieporuszonéj nic wiatrem w pogodzie,
> Ale kto waly, gdy biją nań cięźéj,
> Wiosłem zwycięży.

Śpiewał tak nasz Kasper Miaskowski — i my za nim to powtarzamy.

Niechaj ci, którym zajrzeliśmy w oczy, jeszcze chwilę tryumfują. My mamy wiarę, że to milczenie jest właśnie — strachem przed opinją publiczną.

Nas ono nie zbije z toru. Nie popuścimy téj sprawy, aż nie zedrzemy maski tym członkom Dyrekcji i Rady Nadzorczéj, którzy dla nędznego swego interesiku zbłaźnili sprawę narodową.

Wiadomém każdemu, ile było zapału w Krakowie, Lwowie, Czerniowcach, Poznaniu i gdzieindziéj — gdy zaczęto zbierać składki na ten pomnik narodowy.

Równocześnie budowali Czesi swój teatr w Pradze, a lubo do dziś dnia jich gmach nie skończony, to dla innych powodów — i ukończy się na pewno — świetnie.

I tu nie brakło wzorów.

Z ofiarnych stanął Bolesław Potocki na czele i darował przestronny ogród wartości 30,000 talarów dla wybudowania tamże teatru.

Dziś każdy przybywający do Poznania pyta o ten teatr — i zdumiony widzi w ciasném podwórku teatrzyk maleńki, — do dziś dnia bez dachu, bez okien, bez wewnętrznych urządzeń, — o którym szumnie Dziennik Poznański, a za nim inne pisma nasze krzyczą: że teatr polski w ogrodzie Potockiego w Poznaniu na ukończeniu!...

Przeszłoroczne Walne Zgromadzenie akcjonarjuszów raptem złożone z osób piętnastu, czy ośmnastu jak inni

twierdzą — w których to liczbę wchodzą i członkowie Rady Nadzorczéj i Dyrekcji — zafukało głos jeden — i wypaliło absolucję pochwalną — tym co zkulfonili sprawę.

Tym głosem był głos redaktora Tygodnika Wielkopolskiego, naszego poprzednika. Obiecali mu silne poparcie na owém niewalném zebraniu — i — zamilkli — pokątni krzykacze.

Milczą i dziś nasze pisma.

Dla czego?

Redaktor Kurjera Poznańskiego, zbieracz składek na ów teatr po Galicji i w Krakowskiém, jest czy był członkiem Dyrekcji.

Redaktor Dziennika Poznańskiego jest referentem, stróżem urzędowym i oratorem z Rady Nadzorczéj nad Dyrekcją teatrowéj budowli.

Redaktorem Wiarusa i właścicielem jego jest pan Dr. Łebiński, były kasjer.

Gazeta Toruńska stoji wprawdzie za daleko od machinacji tutajszych, ale i ona nie śmiałaby wystąpić przeciw byłemu firmowemu Banku Toruńskiego, takiéj wyroczni, jaką był i jest jeszcze p. Łyskowski, mający liczną i wpływową familję w Prusach.

Od tego matadora zawisł zresztą jeszcze i kredyt w banku jedynym polskim: Kwilecki, Potocki i Spółka. Nużby on odmówił pożyczki? Jak tu nie dąć w jego trąbkę?... On taki wpływowy — że sam p. Referent wołał — milczeć o tém co widział — wbrew swoim obowiązkom, — niż się narazić p. Łyskowskiemu!... To niejednemu zamyka gębę.

Inni znów nie mogą się uspokojić na to, żeśmy nie ukorzyli się przed tą wydętą sztucznie wielkością narodową — który w modę wprowadził szał spekulacyjny — i szczęśliwy ten dorobkiewicz stał się ideałem dla wielu, co zapomnieli, iż nie samym żyjemy chlebem — ale i słowem Bożem — prawdą i pięknem.

Półgębkiem poparły nas dwa tylko najmniéj rozpowszechnione pisma „Orędownik" i „Ognisko."

Dla czego? Bo pierwsze jest na wpół — a drugie zupełnie niezawisłe i jich redaktorowie nie mieli nic wspólnego z kierunkiem téj sprawy.

Redaktorem Orędownika jest p. Dr Szymański, — ofiara poniekąd p. Referenta osobistéj władzy dyktatorskiéj. Ten zręczny głowacz z p. Łyskowskim zrobili sobie z Dziennika Poznańskiego, instytucji rzeczywiście narodowéj, organ dla swych interesików — i nadużywają ufności akcjonarjuszów, ludzi z małym wyjątkiem nieskazitelnych i najzacniejszych w Xięstwie. Dr. Szymański nie ulegający p. Referentowi, o mało nie padł ofiarą jego wpływu. Urwawszy się z paska akcjonarjuszów Orędownika podburzonych przez Dziennik Poznański, wpadł w ręce drugiéj koterji spekulantów na grosiwo, pp. Szafarkiewicza, Jerzykiewicza et consortes, — którym głos opinji publicznéj może będzie bardzo niemiłym, gdy zajrzymy i do téj naszéj społecznéj rany. Nie dziw że nieśmiały Orędownik, — a on w téj sprawie mógłby być, radby i powinien być naszym sprzymierzeńcem.

Ognisko — ledwo na jednéj stoji nodze i drży o utratę każdego prenumeratora, — a kliki o które potrącimy, da Bóg niezadługo, — szkodziéby mu mogły. Nie dziw że lęka się nas poprzeć jakby to chciało, mogło i umiało.

Nam nie chodzi o to co utracimy, byle zyskała nasza społeczność. Rozpocząwszy walkę o przywrócenie opinji publicznéj w takiéj potędze, jaką miała i mieć powinna, — pozdzieramy przy pomocy Boga maski narodowe ludziom, którzy tę opinję publiczną dla swych interesików w tył zepchnęli — a w jéj imieniu się puszą. Milczenie względne naszéj prasy — jest milczeniem strachu — przed opinją publiczną.

Niewzruszoną mamy wiarę w to, cośmy powiedzieli na stronnicy 38: „Nie! Opinja publiczna nie postradała i nie postrada, — bo postradać nie może swego majestatu!"

„Nie! dziennikarstwo nie jest jéj faworytem" (jak mylnie twierdził hr. Tarnowski), „dziennikarstwu ona na pewno powodować się nie daje."

Na przyszłém Walném Zebraniu Spółki akcyjnéj teatru polskiego, w przyszłą środę, — spodziewamy się — znowu, — poparcia — Rady Nadzorczéj i Dyrekcji. I owszém! Imiennie gotowiśmy wydrukować nazwiska tych, coby nawet wieniec obywatelskiéj zasługi w sprawie teatru polskiego w Poznaniu — zawotowali p. referentowi Dobrowolskiemu i p. Łyskowskiemu, członkowi komisji wykonawczéj komitetu teatralnego od 1 lutego 1871 r.

My wołać nie przestaniemy: „Oddajcie nam ogród, który tak szlachetnie i w tak donośnych celach darował nam Bolesław Potocki, — a który dziś służy za podwórko fabryce rektyfikacji spirytusu. (Czy pp. Fajansa i Łyskowskiego?) Rozbierzcie sobie na akcje wasz teatrzyk na podwórku p. Hebanowskiego, — gdy wam, według zaręczeń p. Referenta, opartych na aktach urzędowych, tyle złota już przynosi. My w to nie mamy wiary. Oddajcie nam to, co wam powierzono!"

I będziemy głosem opinji publicznéj. Ona nam przyklaśnie wbrew milczeniom prasy, wbrew uchwałom Walnych Zebrań, które — wiemy to dobrze — jak się fabrykują.

Niech nam nikt nie wyrzuca, że imiennie cytujemy tych, których wpływ uważamy za szkodliwy. Dosyć już źle wyszliśmy na tém, że się imiennie ochraniało takich hr. Platerów, Jaraczewskich, Węsierskich (L. Kurnatowski) i t. p. — a dziś setki rodzin klną ich w niebogłosy.

Nie! tą drogą pochlebstw, kadzidł zaszliśmy — w błoto, — nie idźmyż nią daléj!...

My się nieprzyjaciół liczby, ani ich złota, ani ich wpływu potęgi nie ulękniemy! bo idziemy w imię prawdy i opinji publicznéj. Ta ostatnia strąci z piedestałów tych tylko, co niepowinni tam stawać, gdzie mają stać ludzie — godni szacunku i czci — opinji publicznéj, t. j. ludzie nieskazitelni.

Tacy tylko mogą i powinni nam przodować. Pobłażliwość w téj mierze zawsze nas gubiła. Czasy obecne są za nadto groźne dla nas, — nasze klęski moralne i materjalne są za liczne i za bolesne, ażeby nie rozpatrzyć się bacznie w materjale naszego społeczeństwa, — i nie zreformować stanowczo przynajmniéj te niedostatki czy zawady, które czynią: że nasza prasa zamiast stać się środkiem, echem głosu ogółu w sprawach narodowych, — staje się służalczą dla sprawek prywatnych.

Wskazując palcem na najdotkliwsze miejsca ran, wymieniając czynniki bólu po imieniu i nazwisku, — tworzymy sobie nieprzyjaciół osobistych, — ale z tych tylko, którzy się wstydzą światła. Tacy są niebezpieczniejszymi wrogami, niż naszemu społeczeństwu obci, zewnętrzni, urzędowi wrogowie. Tacy zmitrężają nasze najżywotniejsze wewnętrzne źródła sił. Tacy są robakami, co toczą naszą społeczną budowę. Ruchliwość jich nie jest zasługą — nie jest pracą — ale robotą niszczącą nas. Takich nie chcemy mieć przyjaciołmi, li ze samego obowiązku, — bo tracimy charakter prywatny jako publicysta, a obowiązkiem naszym jest stać na straży prawdy i piękna — i działać bezwzględnie urzędowo w służbie — opinji publicznéj, — a ona niech — sądzi i wyrokuje.

Wł. hr. Chotomski.

O paleniu zmarłych zamiast pogrzebu.

(Ze stanowiska naukowego).

(Dokończenie.)

IX.

Sposoby uprzątania ciał zmarłych inne niż zagrzebanie w ziemi, są:

1) od dawna używane balsamowanie onychże i przechowywanie jako mumje;

2) topienie we wodzie, mogące być tylko użyte na okrętach lub przy brzegach mórz lub wielkich jezior;

3) palenie ogniem, czy płomieniem elektrycznym, czyli ulotnienie ciał;

4) rozpuszczanie ich w płynach.

Do dziś dnia najwięcéj się zajmowali Włosi sposobem palenia, a Francuzi sposobem balsamowania trupów.

Rozpatrzmy się w tych sposobach.

Że sposób balsamowania jest naturalny, mamy tego liczne dowody. Są nawet ziemie tego rodzaju, że ciała w nie złożone bez trumien, przechowują się tamże znakomicie. Sposób balsamowania Gannota jest już doskonalszym, niż dawne sposoby egipskie, niesłychanie mozolne i kosztowne, ale skuteczne. Dziś sposób Gannota, t. j. przez nastrzykiwanie w żyły za pomocą sikawki płynów chemijnych już prof. Gorini z Lodi do takiego stopnia doskonałości doprowadził, że trup prawie nie zmienia barwy, jest elastycznym jakoby leżał we śnie. Ten mąż konserwuje mięso do jadła tak doskonale, że miesiącami leżały kawałki onegoż zewnątrz okna, a potém gotowane lub smażone — zachowywały smak i pozór świeżego mięsa. Inny, Francuz, znów ogłasza sposób — którym trup zupełnie zkamienieje, tak że ciało daje się łupać niby kamień. Ale tak te sposoby, jak i dawne egipskie są kosztowne i bardzo mozolne, dla tego w użycie powszechne wejść nie mogą i pozostaną na zawsze sposobami przechowywania trupów — osób rodzin bardzo możnych, wyjątkowych.

Drugi sposób, topienia we wodzie, nie da wszędzie się zastósować, bo koniecznie wymaga morza albo bardzo znacznych wód jezior czy rzek i pozostanie przywilejem pogrzebów na okrętach, do którego to sposobu uprzątania zwłok jest zastósowany rytuał rzymsko-katolicki.

Jako ciekawy szczegół, lubo nie należący do rzeczy, nadmienimy, że z ciał zwierzęcych potopionych zdaje się niezawodnie pochodzić nasza nafta, petroleum, jak ziemny wosk pochodzi ze szczątków potopionych roślin. Tłuszcze te zwierzęce i roślinne z czasem zciekają w najgłębsze punkta mórz: wymywane są wodą z naszych cmentarzysk, jak i z innych punktów ziemi i sprowadzane do mórz. Ta destylacja odbywa się ciągle, ułatwia ją ciągłe drganie ziemskiéj kuli, toczącéj się niesłychanie chyżo.

Z dzisiajszych lądów morza ustąpiły przez to, że częścią zamuliły się głębiny onychże, częścią, że je siła wulkaniczna wyniosła w górę nad morski poziom, jako góry. Ztąd znajdują się dziś te szczątki tłuszczu ludzi i zwierząt, jak i roślin w środku lądu stałego. Późniéj — dziś ztaczające się te tłuszcze w oceanów najgłębsze punkta, znów po wyniesieniu dna morskiego nad poziom morza, — będą dla naszych potomnych — naftą i woskiem ziemnym.

Sposób trzeci — palenie ciał, jest dla nas najważniejszym.

Dotąd palenie to odbywało się na stosach drzewa. Jest to bardzo niedokładny i bardzo niestósowny środek, bo i trwa za długo, t. j. zanim się ciało upiecze a dopiero późniéj i przypali, aż nareszcie zwęgli, — i jest niezdrowy dla tych żywych, którzy się w blizkości operacji znajdują. Dowodem tego jest niesłychanie przykry odór, wstrętny naturze ludzkiéj.

Profesor Polli w Medjolanie czynił próby palenia tym gazem, którym oświetlamy nasze ulice i mieszkania. Wstawia on trupa w cylinder, w który wpuszcza silny płomień. Drugim końcem cylindra uchodzą lotne, niespalone części jako dym. W kilku godzinach na spodzie cylindra pozostają popiół i przepalone kości, — gdy to zaledwie po długich latach tak się stanie, i to niezupełnie, przy grzebaniu w ziemię lub balsamowaniu. Z całego trupa zaledwo pozostaje dwunasta część jego żywéj wagi, t. j. z ważącego n. p. 120 funt. trupa — jest popiołu i kości funtów dziesięć.

Przed cylindrem tym, który jest wewnątrz ogromnéj urny — jest urządzony ołtarz, ze stopniami. Xiądz tedy po spaleniu, stojąc przy ołtarzu tym, może zebrać popioły w przyniesione naczynie, urnę, — i wydobyć je ze spodu owéj ogromnéj urny, w któréj wnętrzu jest ów cylinder, tym sposobem, że dno jéj łatwo można obniżyć i odłączyć od części jéj wierzchniéj, która jest nieruchomą. Urządzenie tego całego sposobu wymyślił inżynier Clericetti z Pollim. Rodzina, xiądz, przytomni — nic a nic z téj operacji nie widzą i mogą modlić się w kaplicy, w któréj w ścianie, niby blat ołtarza, widoczna tylko na zewnątrz połowa przodowa owéj urny.

Drugi sposób jest prof. Brunetti'ego z Padwy, który był na wystawie wiedeńskiéj. Jest to piec z cegieł szamotkowych, w który się wkłada trupa. Ściany pieca są opatrzone drzwiczkami zasuwanemi do regulowania cugów, a nad piecem kopuła do regulowania płomienia. Dwie godziny i 130 do 140 funtów drzewa wystarczają do zupełnego spalenia, a cząstki pozostałe zgarnia się z płyty żelaznéj. Z ciała ważącego 102 funty, pozostało przy jedném z ostatnich doświadczeń $3^1/_2$ funta popiołu.

Tak w przyrządach Polli'ego jak Brunetti'ego można dym znowu w płomień kierować, i palić trupy jako materjał do fabrykowania gazu. Na tę korzyść jednak, jako na „oburzającą uczucie", profesorowie ci nie zwracali bliższéj uwagi.

W Lipsku profesor uniwersytetu Dr. Reclam wybudował piec podobny nieco do pieca Brunetti'ego, z bardzo wysokim kominem. W piec wstawia albo ciało z trumną, lub bez, — a w 20 minutach materjałem wartości 2 do 3 talarów — w popiół już zamienia. Budowa tego pieca kosztowałaby 15,000 tal., gdyby go ze świątynią na obrzędy religijne pogrobowe wystawić miano.

Czwarty sposób: rozpuszczania ciał w płynach chemijnych jest wynaleziony i próbowany przez prof. Gorini'ego z Lodi. Doświadczenia czynione w przytomności prof. Dr. Pini w Pawji okazały, że Gorini rozpuszczał członki ciał, n. p. nogi i ręce, w jemu tylko znanym płynie, w którym się tak rozpuściły i mięśnie i kości, jak cukier we wodzie — bez śladu, — mimo że profesor E. Kopp w Zurychu miał odczyt, w którym twierdził, że ciała nasze w żadnym dotąd znanym płynie się nie rozpuszczą. Płyn Gorini'ego rozpuszcza nawet najtwardsze skał ułomki, jak kwarc, gnejs, porfyr, — co podpisany na własne oczy widział w Medjolanie, gdy ten uczony tłomaczył powstawanie wulkanów i na małą skalę publicznie taki wybuch okazywał.

Z takowego rozczynu trupów — można potém ztrą-

cić części stałe, któreby na filtrze zebrane w urnie zachować można jako proszek czyli popiół; a płyn sam znowu użyć do następnych operacji. Ten sposób byłby może najtańszy z dotychczas znanych.

Raz poruszona już ta myśl najniezawodniéj doprowadzi do rezultatów, o których dziś jeszcze trudno marzyć.

X.

Jakkolwiek są widoki, że niezadługo nastanie zwyczaj palenia ciał po wielkich miastach, to chwila ta nie zdaje się być tak blizką — ażeby się stał powszechnym.

Przyczyny tego głównie leżą w niedostatecznych dziś środkach samego palenia.

Te zarazki czy miasmata które się wydobywają z czasem z łona ziemi z trupów i trwają lata, przy paleniu jich wywijają się jako dym smrodliwy raptem i razem. Dymem tym o tyle obfitszym, o ile mniéj doskonałe jest spalenie, zatruwałoby się dziś powietrze jeszcze więcéj, niż ze cmentarzów wyziewami, gdyby wszędzie i wszystkie ciała dziś palić miano. Kosztowne kominy i nader wysokie są przy dzisiajszym stanie wiedzy o paleniu — niezbędne. Nie wiele gmin zdobyłoby się na tyle znaczne koszta, a jeszcze mniéj na ludzi, którzyby umieli tak umiejętnie palić ciała jak chemicy i profesorowie: Polli, Brunetti, Reclam. Z niedostatecznie spalonych zwłok zaraza byłaby taką, jak z dzisiaj chowanych w ziemię.

Nietylko same koszta jednego pieca, ale po wielkich miastach jak Paryż — trzebaby dziennie palić przynajmniéj 150 trupów, a w razach morowych chorób do 2000. Pieców takich trzebaby wiele, a dla taniości trzebaby je koncentrować w jeden punkt, w jeden ogromny zakład, — gdy dziś kilkanaście jest cmentarzów dla samego Paryża, a w okolicy każda gmina ma swój. Samo tedy sprowadzanie trupów w jeden punkt sprawiłoby niedogodności — i źródło zarazków bardzo niebezpieczne.

Co do zarzutu jeszcze jaki czynią — że palenie ciał uniemożebnia śledztwo sądowe otruć lub zabójstw — po pewnym czasie, a które to śledztwo wykopywanie ciał częstokroć usprawiedliwia, — to jest bardzo powierzchowny powód. W ogóle niedbałość policyjnych urzędów przy pogrzebach raz ustać powinna i czas jest blizki, gdzie nastąpi reforma policji sanitarnéj i praw lekarstwa prawniczego (medycyny legalnéj). Kongres wiedeński międzynarodowy choleryjny wywoła najniezawodniéj niejedną zmianę. Bez obdukcji nie powinno się żadnego trupa chować, a przy dziś ciągle wzrastającéj ogólnéj oświacie a mnogości lekarzów światłych i sumiennych, nastąpią najniezawodniéj takie prawa — że okaże się zaraz przy przedwstępnéj obdukcji obligacyjnéj przed pochowaniem zwłok, czy śmierć spowodowała trucizna, czy morderstwo inne, — a niechby jeszcze i xiężom i nauczycielom nadano obowiązkowe wykształcenie po temu — to wszelkie exhumacje dziś częstokroć najniepotrzebniejsze i najniedostateczniejsze — zostaną jako wspomnienie barbarzyńskich wieków. Same nasze polskie towarzystwa lekarskie, jesteśmy tego pewni, spostrzegą się, iż warto gruntownie téj potrzebie zaradzić.

Co jeszcze na zawadzie do zaprowadzenia najniezawodniéj dziś najskuteczniejszego sposobu — jakby się z trupami obchodzić, — to jest nieszczęsny fanatyzm religijny, któryby wrzasku ogromnego narobił, gdyby miało się odbywać nabożeństwo za umarłych katolików, protestantów i żydów w tém samém miejscu. Każda z tych odcieni wymagałaby koniecznie — odłączeń przynajmniéj. Lecz z czasem i z oświatą da Bóg — minie i ta niereligijna arystokracja, gdy prawdziwéj religji zatryumfuje zastósowanie, a które dotąd tylko, jak i wiele innych dobrych rzeczy, jistnieje w teorji, w czczych słowach. Powtarza z nas każdy codziennie: „kochaj bliźniego jak samego siebie“, — „odpuść nam nasze winy, jak i my odpuszczamy naszym winowajcom“, — „przyjdź królestwo Twoje“, — „bądź wola Twoja“ — ale to powtarzamy tylko nałogowo, bezmyślnie, obłudnie nawet, nie myśląc wcale o wykonaniu téj zbawiennéj teorji. Nawet pogardliwe nazwy świątyniom poświęconym Bogu nadajemy: „kryple“, bóżnice“, — a jeszcze z większym wstrętem uważamy innowierców. Nawet w obliczu śmierci ten obłęd nas nie opuszcza. „Jakto? miałżebym tam być palony — gdzie palą żydów?“ pomyśli sobie przynajmniéj niejeden z nam współczesnych.

Daléj trzebaby jeszcze zmian praw, — urządzenia innego administracji pogrzebowych, przepisów policyjnych; zmian w rytuałach kościelnych, a nadewszystko innego poglądu na śmierć, niż dziś panujący.

Nie dopisują tedy ani sama umiejętność, ani prawa, obyczaje i zwyczaje, ani nie można dziś jeszcze pokonać wszystkich trudności we wykonaniu praktycznem co do uprzątania się z trupami, ażeby można mieć nadzieję, iż sposób palenia zwłok u nas rychło wejdzie w użycie.

Po wielkich atoli miastach niezadługo ujrzymy go i tam téż pozostanie obok innych. Być nawet może, że tam dla biednych ludzi zwłok powstaną nawet fabryki gazu do oświetlania ulic, — i ci co żyli w ciemności całe życie — zajaśnieją chwilowém światłem po śmierci swéj. Ostatecznie podpisany chętnie i na toby się zgodził, żeby nawet i garstką swego ciała stał się użytecznym bliźnim.

Podnieśliśmy tę kwestję tu dla tego, żeby przyzwyczajić się do porzucenia przesądu, tyczącego się palenia ciał, — a mianowicie, ażeby zwrócić uwagę na szkodliwość grzebania ciał, jak dotąd po cmentarzach, w blizkości mieszkań.

Najpraktyczniéj byłoby zakładać na cmentarzach, po jednorazowém zagrzebaniu, zagajenia. Korzenie drzew chłonęłyby zarazki (miazmy) i oczyszczały powietrze. Środek ten zalecił Francuz de Freycinet, któremu rząd francuzki polecił zbadać kwestję palenia ciał. Niechby rzadkie groby bogatszych pozostały ogołocone, dla pomników, ale pod żadnym warunkiem nie powinno się cierpieć grobów familijnych murowanych, w które wstawiają trumny ze zwłokami i które tamże gniją na powietrzu — zatruwając je najzjadliwszym sposobem — niby Campo Santo pod Neapolem. Przeciw temu każda uczciwa dusza stanowczo protestować powinna — i czczéj próżności się pozbyć, jako szkodliwéj bliźnim. Niech się ograniczą na pomnikach stawianych w miejscu, gdzie spoczywają członkowie rodzin. Owszém — ta próżność da zarobek artystom rzeźbiarzom, budowniczym, — ale niech nie pozwolą ażeby bliźni przeklinali zwłoki. — dla których źle zrozumiana czułość i chorobliwa wyobraźnia wymyśliła — stan najsmrodliwszéj i najzjadliwszéj zgnilizny — jako najodpowiedniejszy jich czci pogrobowéj.

Wł. hr. Chotomski.

Nad Wisłą.

Tu spocząć jakże miło nad modrą twą tonią
Strumieniu mój rodzinny! .. W koło — tyle maju, —
Śpiewaków tyle kwili w nadbrzeżnym twym gaju,
I kwiatki nad twą wodą tak rozkosznie wonią.

O Wislo moja! — kędyż twoje fale gonią?...
Pozostań rzeko nasza w twoim polskim kraju, —
Czy widzisz — jak za tobą się piersi wzdymają —
W zamgloną dal za tobą wzrok leci pogonią.

Daremne prośby! — ona — ledwie popieściła
Nadbrzeżnych kwiatków lica — chat białych szeregi
Spojrzeniem ledwie krótkiem oglądać raczyła.

Skręcając kręgów kilka, — i w odwieczne biegi
Swe wody błękitnawe szemrząc potoczyła —
I płynie w dal żegnając całusami brzegi.

*

Ranek.

Wzaciszu ciemném gajów ostatnią piosenkę
Wydzwonił slowik mały — zaranne swe pienie;
Z kościółka wieży dzwonek głosił — Pozdrowienie —
Na nieba na rozległe — Bóg wysłał jutrzenkę.

Błękitu wschodni rąbek wdział zorzy sukienkę —
Leciuchném tchnieniem nocne rozdmuchując cienie,
Aż słońca twarz rumiana wyszła na sklepienie
I mnóstwem swych promyków przyćmiła jutrzenkę.

Spóźniony na zachodzie xiężyc się przekrada
Z jednéj chmurki za drugą, — aż w obłok zapada:
I wstydzi się już słońca złocistego wzoru,

I strudzony zapewne, bo twarz jego blada; —
Więc do snu skłonił czoło, i czeka wieczoru
By znów w odwieczną podróż wypłynąć z za boru.

*

Na gruzach.

Ostatki staréj baszty smutném rumowiskiem
Sterczały po nad skały i jodłowe lasy...
Ruino! — już przebrzmiały świetności twéj czasy —
Puszczyków dzisiaj jesteś i wężów siedliskiem

I dzikich traw i bluszczów codzienném igrzyskiém.
Nie powstaniesz już nigdy, by jaśnieć od krasy —
O mury swe roztrącać wojenne zapasy —
Lub słońcu się przedrzeźniać twych wieżyc połyskiem.

To minęło!... a dzisiaj nad twoimi groby,
Na chwilkę ledwie pasterz tu czasem usiędzie —
I zagra na fujarce piosenkę żałoby...

Lub wicher szalejący zatrzyma się w pędzie, —
Obieży do okoła, — złowrogo zadyszy —
A potém znóweś sama — w grobowéj twéj ciszy.

*

Wieczór.

Ostatnim słońce z za gór zabłysło promieniem,
Raz jakby jeszcze ujrzeć lasy i doliny; —
A zachód zdobny zorzą — srebrzysty i siny —
Skłaniał się na spoczynek z wietrzyków westchnieniem.

Już gwiazdy tu i owdzie lśniły pod sklepieniem,
I małemi oczęty mrugały w niziny;
A w świeżym rosą gaju — w gęstwinie kaliny
Już slowik się odezwał z melodyjném pieniem.

Na wschodnim krańcu nieba blask świta szeroko; —
Po chwili krwawy xiężyc wysunął swe oko,
I ciekawą się twarzą rozgląda w dolinie, —

Przecina srebrne chmurki, — tę głaśnie, tę minie —
Wypoczął wreszcie chwilkę w błękicie wysoko, —
I pomiędzy gwiazd rzesze na zachód gdzieś płynie.

Władysław Kisielewski.

Tajemnicza szkatułka.

Powieść osnuta na prawdziwém zdarzeniu.

I.

W pierwszych dniach czerwca roku 186* zajechała elegancka dorożka przed najznaczniejszy hotel w miasteczku F… w Czechach, słynném z mineralnych źródeł, których dobroczynne wpływy na zdrowie ludzkie sprowadzają tamże licznych gości z rozmajitych okolic świata Z dorożki wysiadł najprzód mężczyzna poważny a za nim dwie panie w wytwornym, podróżnym ubiorze, i wszyscy troje udali się po szerokich wschodach do zamówionych znać już dawniéj pokojów na pierwszém piętrze. Mężczyzna ten był węgierski hrabia Alman Rikoczy, jedna z pań była jego żoną, druga siostrą. Przybywali tutaj nie tyle dla leczenia się, jak raczéj dla spędzenia kilku latowych miesięcy wśród piękności przyrody w tych okolicach górzystych.

Wtenczas koléj żelazna nie dochodziła jeszcze do samego miasteczka. Podróżni zmuszeni byli pozostawić swoje pakunki na ostatniéj stacji kolei żelaznéj i przybywać pieszo lub w dorożkach. Rzeczy ich przywożono późniéj w umyślnie na to urządzonych omnibusach. Więc téż i rzeczy naszych trzech podróżnych nadeszły w kilka dopiero godzin po ich przybyciu. Służąca hrabiny przybyła także omnibusem, poznosiła wkrótce za pomocą kelnerów wszystkie tłumoki, kufry, kuferki i pudła, w naszych czasach panowania mody i zbytku tak niezbędnie potrzebne w każdéj podróży.

Hrabina sama przewodniczyła ustawianiu tych rzeczy, a gdy służąca Weronika oddaliła się z pokoju, wyjęła z kieszeni mały kluczyk w zamiarze otworzenia nim jednego z małych skórzanych kuferków, który w sypialni swojéj ustawić kazała. Zbliżywszy się doń obejrzała go starannie i zawołała z widocznem przerażeniem: „Wielki Boże, cóż to znaczy, to nie mój kuferek, ktoś go zamienił!“ Kluczyk wypadł z drżącéj jéj ręki i z niezmiernym przestrachem zadzwoniła na służbę.

W kilka chwil potém służąca ukazała się we drzwiach.

— Weroniko! — zawołała hrabina z żywością — tyś nie mój kuferek przyniosła.

— Oddano go z omnibusu — odpowiedziała służąca oglądając go uważnie. — Czyż to nie jest kuferek jaśnie pani?

— Ależ nie mój! powiadam ci, że to inny! — wołała hrabina przechodząc się w największém wzruszeniu po pokoju. — Co tu począć! jak sobie poradzić! O wielki Boże co to za nieszczęście!

— Trzeba będzie telegrafować do ostatniéj stacji — rzekła służąca zdziwiona lub wystraszona gwałtownem wzruszeniem swéj zwykle bardzo apatycznéj pani. — Jutro odbierzesz zapewne jaśnie pani swój kuferek.

— Ale jeżeli go już jakiemu innemu podróżnemu wydano, a ten pojechał z nim daleko w świat! Ah to byłoby okropnie! — wołała hrabina załamując ręce.

— Uspokój się pani, w tym razie telegrafowanoby za tym podróżnym, a on oddałby go zapewne natychmiast, bo na cóżby się komu przydało przyznawać się do cudzych rzeczy?

— O ty tego nie rozumiesz Weroniko! — zawołała hrabina. — Idź i poproś mi tu pannę Łucję.

W kilka chwil późniéj weszła do pokoju hrabiny młoda i piękna jak jutrzenka w maju hrabianka Łucja Rikoczy. Weronika już ją była uwiadomiła o nieprzyjemném zajściu z kuferkiem.

— Co za nieszczęście! — zawołała bratowa do wchodzącéj. — Jaka to zła wróżba dla naszego tutajszego pobytu!

— Jak możesz wzruszać się tak gwałtownie zdarzeniem tak mało znaczącém, droga Rozaljo — rzekła Łucja z wyrazem lekkiego wyrzutu.

— O ja wiem, że w mojém życiu z małych przyczyn wielkie powstają skutki! — zawołała hrabina z goryczą.

— W twojéj zbyt wybujałéj wyobraźni, powiedz raczéj — przerwała Łucja.

— O zlituj się nademną i nie czyń mi wyrzutów, i to jeszcze w téj chwili! — zawołała hrabina płacząc.

— Nie myślę czynić ci wyrzutów — odpowiedziała Łucja spoglądając z współczuciem na płaczącą bratowę, — ale chciałam ci tylko zwrócić na to uwagę, iż sobie wyobrażasz wszystko w nazbyt czarnych barwach.

— Ale czyż to nie jest rzeczywiście okropne zdarzenie z tym kuferkiem? — zawołała hrabina.

— Nic więcéj jak trochę nieprzyjemne, — odpowiedziała Łucja z obojętnym spokojem, który dziwnie odbijał przy gwałtowném wzruszeniu hrabiny.

W ogóle w tych dwóch tak blizkiemi węzłami pokrewieństwa złączonych osobach, zachodziła uderzająca sprzeczność usposobień. Rozalja hrabina Rikoczy była blada, wiotka, mdła blondynka, wszystkie jéj poruszenia okazywały jakąś lękliwą nieśmiałość lub bolesną rezygnację, w jéj łzawych oczach niebieskich jako i w cichym, przytłumionym głosie przebijał się wyraz głęboko ukrytéj boleści. Łucja Rikoczy piękna, rumiana, w kwiecie wieku dziewica z czarnemi błyszczącemi oczyma, z twarzą, któréj pięknych rysów wybitném znamieniem była energiczna siła woli i pewność siebie, pochodząca może z moralnéj przewagi nad otaczającym ją światem, podobna była do rozkwitłéj kamelji, kiedy jéj bratową do złamanéj burzą białéj lilji porównaćby można było.

— I cóż tu począć droga Łucjo! rzekła hrabina po chwili namysłu.

— Nic innego jak prosić Alemana, aby telegrafował do ostatniéj stacji.

— Ah Boże, jabym niechciała aby mój mąż dowiedział się o tém.

— A to dla czego?

— Onby może gniewał się na mnie — rzekła hrabina z wahaniem się.

— Nie sądźże go tak niesprawiedliwie, kochana Rozaljo, czyż podobna aby się miał gniewać na ciebie o coś, czemu wcale winną nie jesteś.

— Ale moja lękliwość, mój niepokój, ty wiesz jak go to zwykle drażni.

— Więc bądź spokojną i nie troszcz się zbytecznie o rzeczy tak małoznaczące...

— Ah gdyby to było w mojéj mocy, — rzekła Rozalja, a w pięknych jéj niebieskich oczach zabłysły znowu łzy.

— Nie pojmuję cię — rzekła Łucja z niechęcią — jak można trapić się tak bardzo stratą kilku przedmiotów służących do ubioru.

— O te nie chodzi mi bynajmniéj — odpowiedziała hrabina — ale w tym kuferku znajdowały się rzeczy, których za nic w świecie niechciałabym powierzyć nikomu. O jak to okropnie — dodała po chwili milczenia — nie mieć stałéj siedziby, gdzieby można mieć drogie pamiątki w bezpieczném schronieniu.

— Mnie się podoba takie życie koczujące — rzekła wesoło Łucja. — Wiesz przecież, że brat mój lubi nad wszystko podróżować, — że to jest warunkiem jego życia, jak utrzymują lekarze, zwłaszcza od śmierci jego pierwszéj żony.

Na te słowa Rozalja westchnęła boleśnie.

— Najlepiéj więc będzie, że pójdziemy same telegrafować po zgubiony kuferek — rzekła Łucja, chcąc odwrócić rozmowę od przedmiotu zwykle tak przykrego jéj bratowéj.

Wkrótce obiedwie młode kobiety w eleganckim ubiorze pospieszały drogą prowadzącą do domu pocztowego. Załatwiwszy interes z telegrafistami i dowiedziawszy się, że za kwadrans będzie odpowiedź, udały się na promenadę, gdzie zwykle o téj godzinie, około szóstéj wieczorem, zgromadzał się świat piękny i huczna grała muzyka. Rozalja i Łucja usiadły na ławeczce w cieniu rozłożystego dębu; pierwsza, pogrążona w głębokiém dumaniu, spozierała obojętnie na przesuwające się przed jéj oczyma strojne osoby; na Łucji pięknéj twarzy malowało się zadowolenie, z jakiém zdawała się witać znajome jéj już z dawniejszych czasów te miejsca.

Nie długo tak pozostawały same. Wkrótce przystąpił do nich mężczyzna w wytworném ubraniu, w okularach oprawnych w złoto, w żółtych rękawiczkach, z laseczką ze srebrną gałką i powitał z niezmierną radością Łucję jako dawną znajomę.

— Pan dyrektor Straus — rzekła Łucja przedstawiając go bratowéj. — Będąc tu w przeszłym roku z ciotką Marją, miałam sposobność zapoznania się z tym panem, który jest tutaj dyrektorem policji a zarazem intendentem dóbr książęcych.

Po zwykłych rozmowach towarzyskich, hrabina opowiedziała panu dyrektorowi swój kłopot z zamienionym kuferkiem, ten zaś przyobiecał z wielką skwapliwością dołożyć wszelkich usiłowań do zwrócenia jéj zguby. Pan dyrektor zdawał się niezmiernie uszczęśliwiony ze spotkania Łucji, i tém, że zaraz na wstępie mógł swe usługi rodzinie hrabiowskiéj ofiarować.

Zajęte rozmową te trzy osoby nieuważały, że jakiś młody człowiek w brunatnym paltocie, z czarnym wąsikiem i cygarem w ustach stał opodal ławeczki i przysłuchiwał się ciekawie ich rozmowie prowadzonéj dość głośno w francuzkim języku. Gdy hrabina mówiła o zamienionym kuferku, jego bystre spojrzenie zwróciło się na nią z wyrazem zadowolenia i ironji. Gdy zaś dyrektor odszedł od pań i udał się do biura telegrafów, by się dowiedzieć czy już nadeszła odpowiedź, i gdy wrócił wkrótce z tą niepocieszającą wiadomością, iż kuferka nie znaleziono, młody nieznajomy wszedł do biura telegrafów i napisał następujący telegram do jednego z najznaczniejszych domów agentury zabezpieczenia życia w Berlinie: „Interesa stały nieźle, lecz mnie uprzedzono, miejcie się na baczności. Juliusz Melville.“

Niedługo potém obiedwie panie z uprzejmym dyrektorem udały się do kursalu, gdzie zastały hrabiego Rikoczy czytającego z wielkiém zajęciem świeżo z Wiednia nadeszłe gazety. Hrabia liczył około lat czterdziestu. Wysoki i chudy trzymał się pochyło, a chód jego był powłóczysty i niepewny. Jego ciemne włosy już były nieco siwizną opruszone; duże szare oczy nieco w głąb' zapadłe miały dziwnie melancholijny wyraz i często zatrzymywały się długo na jednym przedmiocie, jak się to nieraz zdarza u osób ciągle jedną zajętych myślą. Usta wązkie i mały podbródek, nie ocienione wąsami ani brodą, nadawały jego twarzy wyraz zniewieściałości i słabości charakteru. Cała jego powierzchowność sprawiała wrażenie człowieka dręczonego jakąś tajemną zgryzotą, lecz jego wytworne maniery okrywały wszystko polorem, który u osób żyjących na

wielkim świecie zaciera wszelkie właściwości charakteru, i tak światło jak i cienie zarówno osłania.

Łucja przedstawiła bratu swego znajomego. Hrabia przywitał się z nim bardzo uprzejmie, przypomniał, iż znał się z nim z czasów studenckich i zaprosił na kolację przy table d'hôte. Tutaj, niepostrzeżony od nikogo, bo nikomu nieznany, znalazł się znowu ów młody człowiek, który w biurze telegrafów nazwał się Juljuszem Melville. Zajęty jedzeniem siedział spokojnie przy drugim końcu stołu i tylko ukradkiem rzucał ciekawe spojrzenia na hrabiego i jego rodzinę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kilka szczegółów z życia codziennego Joachima Lelewela.

(Dokończenie.)

Mało kto z ludzi mniéj cenił pod względem pieniężnym swe prace nad Lelewela. Gdy go wydalono z Francji, co wiele mu rozgłosu zrobiło, magistrat bruxelski, za przybyciem jego do stolicy tego szczęśliwego kraju, poruczył mu uporządkowanie swego bogatego zbioru rękopismów. Zkatalogowanie takie wymaga wiadomości nadzwyczajnych, zwłaszcza gdy, jak tu było, rękopisma są z dawnych wieków, najrozmaitszéj treści i w rozlicznych językach pisane. Dotąd zabierało się do téj pracy wielu znakomitych uczonych, ale nikt nie sprostał temu zadaniu. Liczył magistrat, że to zatrudnienie da utrzymanie dożywotnie Lelewelowi. Ten jednakże uwinął się z tą pracą w przeciągu półtora roku Rozpoczął od rękopismów najtrudniejszych, bo od arabskich, hebrejskich, słowiańskich i greckich — których do tego czasu nikt nawet co do ich treści oznaczyć nie umiał. Magistrat zdziwił się, gdy Lelewel mu oznajmił — iż ukończył swe zadanie. Za wzorowe uznała onegoż wykonanie komisja uczonych na ten cel wyznaczona. Jak tę pracę mu wynagrodzić — to był kłopot nie lada, bo dotąd Lelewel ani sobie wspomnieć nie dał — o zapłacie!... Uradzono zbadać jego żądanie — i postawiono za normę dwuletnię płacą bibljotekarza przy publicznéj państwowéj bibljotece — z podwyższeniem jéj do 20,000 franków. Gdy przyszła deputacja magistratu do Lelewela — najprzód z podziękowaniem mu, a potém z propozycją, — przy wymienieniu ilości 12,000 fr. Lelewel poskoczył oburzony... Ci zaczęli go przepraszać — że chętnie dadzą więcéj: 15, 18, 20 tysięcy!.... Lelewel jeszcze gwałtowniéj gniewać się począł: „Jakto? więc robotnik, co przy skwarze słońca lub mrozie po 14 godzin dziennie w pocie czoła pracując tylko ma zarabiać półtora franka, — a wy mnie, — com przy wszelkich wygodach, nad najprzyjemniejszém zatrudnieniem czas swój przepędził, tysiącami chcecie płacić!!!.... Nie! na tę marnotrawność nie zezwolę! Zapłacicie mi po półtora franka dziennie, t. j. 1000 franków i basta!" Na nic się zdumionych deputatów ani prośby ani przedstawiania nie zdały — i zaledwo do półtora tysiąca sobie wypłacić pozwolił, — i to jeszcze jako fawor nadzwyczajny dla tego, żeby ich tylko uspokoić.... Do przygotowanego już swego żądania dopisał jeszcze jako „gratyfikację za sumienną pracę według komisji uznania" brakujące kilkaset franków do półtora tysiąca...

Wiedząc o tém jego dziwactwie z opowiadania, a mianowicie ze życiopisu Lelewela, opisywanego przez Sawaszkiewicza bardzo drobnostkowo i przez długie lata, sam doznałem — jak najniewinniéj — ostréj i zjadliwéj bury od Lelewela. Przejeżdżając przez Berlin, wstąpiłem do xięgarni Behra, a zastawszy tamże samego uczonego xięgarza i nakładcę, pochwaliłem się — że mam w ręku rękopisma Lelewela. Behr oświadczył, że radby je nabył — i zapłaci więcéj niż kto bądź, — bo bardzo życzy sobie mieć w swym nakładzie coś z prac tego dziejopisa. Napisałem z Berlina o tém do Sawaszkiewicza. Czwartego dnia otrzymałem list od Lelewela, żądający natychmiastowego zwrotu rękopismów, — z dodatkiem wyrzutów „zdrady zaufania", „nieuczciwości" z méj strony, „złamania słowa" i t. d., — a który to list mnie mocno zmartwił i zawstydził. List podarłem, nic mu nie odpisałem — a w kilka dni potém wręczyłem p. Janowi Żupańskiemu nieotworzony z rękopismami pakiet, — nie pożegnawszy się nawet z Behrem, który zapewne niecierpliwie mnie oczekiwał z pomyślną dla siebie wiadomością. Lelewel dotrzymał święcie słowa! Nikt nie drukował jego dzieł — oprócz Żupańskiego.

Co się stało z rękopismami Sawaszkiewicza?!.... Wspomniany życiopis Lelewela był bardzo zajmujący, a już w 1847 r. było go na dwa grube tomy druku. Sawaszkiewicz często mi z niego czytywał ustępy i mawiał, że to będzie jego wiekopomne dzieło. Były tam szczegóły genetyczne prac Lelewela, arcy-ciekawe, i najniezawodniéj przez najkompetentniejszego w téj mierze oceniacza spisane; były tam charakterystyki bardzo sarkastyczne częstokroć osób odwiedzających Lelewela, a mianowicie francuzkich uczonych, których Sawaszkiewicz nie cierpiał — tyle co i Prot Śreniawa Potocki, autor kilku dziełek francuzkich, z których znamienującém jest: „Les Polonais français du Nord."

Z tego rękopismu Sawaszkiewicza ubawił mnie opis odwiedzin Mickiewicza u Lelewela w Bruxeli. Najznakomitszy poeta nasz z najznakomitszym dziejopisem spędzili kilka dni bardzo serdecznie i wesoło, w ciągłych extazach — nad przedmiotami do jadła w Litwie!... Lelewel opisywał z zapałem niedościgniony smak śmietanki litewskiéj, — a Mickiewicz się rozpływał nad — smażonemi grzybami!... Wyłączne tego rodzaju wyżołądkowywanie się z humorem i zapałem godnym samego Brillat-Savarin w jego „Psysiologie du goût" — trwało dni kilka od rana do późnéj nocy, — i pewno Hans Marker gdyby ich był słyszał a zrozumiał — mógłby w dziesięciu obrazach jak najapetyczniéj przedstawić ową „Abundancję" litewską — jaką ci dwaj znakomici ludzie w ideale — przypominali, — bo w rzeczywistości ani Lelewel nie zmienił swego trybu „raczenia się" swoją nieapetyczną kawą — i swemi „emigranckiemi bankietami", — ani Mickiewicz nie miał na to, ażeby żyć huczniéj od Lelewela. Sawaszkiewicz mnie zapewniał, że mu na kilka tygodni zepsuli wszelki smak — do zwykle zadawalniającéj go kuchni belgijskiéj, choćby i u Wincentego hr. Tyszkiewicza (gdzie był guwernerem jego synów Tadeusza i Stanisława), a nawet i do przysmaczków Vefoura lub Frères provinceaux, t. j. najwybredniejszych wówczas w Bruxeli restaurantów, a gdzie zapraszał marszałek Staniewicz swych przyjaciół — ile razy miał „flottę", — co się temu ongi możnemu panu rzadko wówczas zdarzało. „Nigdym tyle za Litwą i jéj gastronomji skarbami nie tęsknił, co podczas tych wizyt Mickiewicza u Lelewela!" skarżył się żartobliwie Sawaszkiewicz.

Lelewel był bardzo uczynnym i jak na emigranta hojnie dopomagał biedactwu „pożyczając" zwykle po dwa franki proszącym go, — gdy go zapewniali, że cierpią głód. Czasami dawał i wiele więcéj. Raz dał pięć franków żydowi litewskiemu, które to pięć franków posłużyły temu zbiegowi przed branką za podstawę — do znacznego bardzo dorobku. Sam mi opowiadał to zabawne a bardzo pouczające zdarzenie:

Ów żydek dążył do Paryża z Litwy, kierując się zachodem słońca, unikając miast i dróg bitych, żeby go

nie schwytano. Uciekając przez Prusy ominął Berlin, a nie znał żadnego właściwie języka, oprócz zwykłéj żydowsko-litewskiéj niemczyzny. Tułał się w nędzy o żebranym chlebie długo, pytając się o każde większe miasto czy to nie Paryż — aż przybył do Bruxeli. Tak tu jak i wszędzie — minąwszy Wisłę gdzieś pod Gdańskiem, nie rozumiano go należycie, zwłaszcza gdy się dostał do Hollandji i Belgji. Ktoś mu wskazał mieszkanie Lelewela, o którym w ludzie prostym w Bruxeli była wiara — że to król polski. Usłyszawszy od Lelewela polską mowę, padł mu do nóg — z radości, że z kimś się zdołał porozumieć.

— Czy to Paryż to miasto? — było jego pierwszém pytaniem.

— Nie, to Bruxela — odrzekł mu Lelewel.

— A daleko to do Paryża?

— Z pięćdziesiąt mil!

— Aj waj! — zawołał żyd — co ja zrobię! Ja muszę być w Paryżu; ja tam zrobię geszeft.

— Jaki?

— Nu! ja tam mam dobrego znajomego!

— A kto on taki?

— Pan Idźko!

— Co za pan Idźko?

Żyd się począł dziwować, że Lelewel nie zna takiego wielkiego pana, którego zna każdy na Litwie. Po długich wywodach, że rodzina tego żydka miała pacht od krewnego tego wielkiego pana, — że tam wielu wielkich panów Idźków, — Lelewel się dorozumiał, że to musi być mowa o Chodźce chyba — ale nie o Idźku.

— Ny, to wsyćko jedno — czy idź czy chodź. Niech mu będzie pan Chodźko. On mi dopomoże. On mi da pięć franków — i ja będę ajn gemachter mann!...

Na to rozśmiał się Lelewel i wytłomaczył mu, że jeżeli tylko o 5 franków mu chodzi, to nie potrzebuje chodzić do Paryża po nie, bo tyle on sam mu da, ale pod warunkiem, ażeby mu powiedział, co i jak on to rozpocznie, ażeby być: ein gemachter mann.

— Ja już wim, — ja już wim jak! Co to gadać! Ja zrobię!

Więc dał mu 5 franków Lelewel, ale wymagał, ażeby mu żyd zdawał codziennie rachunek ze zarobku. Żyd znowu mu upadł do nóg, ucałował je i wybiegł wrzeszcząc: „Ich bin ein gemachter mann!... Ja jestem zrobiony ćlowiek!...“

Nazajutrz wrócił z ósmiu frankami w ręku, ze śledziem i dwoma bułkami w kieszeni, — towar zaś swój nadto zostawił w sieni, — i zaręczał, że wczoraj już zjadł 2 śledzie i bułek kilka — i wódki się napił — i dziś już się najadł, — a był poprzednio bardzo głodny, bo mu nikt tu grosza ani jeść dać nie chciał. — Dostawszy tedy owe 5 franków, najpierwéj się najadł; potém poszedł kupić bibuły zwyczajnéj i arkuszami sprzedawał ją, wchodząc dom przy domu. Zwykle mu dawano centym a często i 5 centymów za arkusz, — bardzo często go i wypychano z niczém. Tak całą Bruxelę obczęstował bibułą, po arkuszu nieomal co dom. Gdy zebrał kilkadziesiąt franków zaczął handlować tasiemkami, nićmi, igłami i t. p., obnosząc po ulicach. Nareszcie na stoliku sprzedawał ten towar przy bramie „Ixelles“, aż tam sobie i budkę wystawił dla kramu. Później najął sklepik, i coraz to daléj — założył sklep galanteryjny, a wyuczywszy się po francuzku, ożenił się i miał w 1847 r., t. j. w kilkanaście lat potém, na placu de la Monnaie w Bruxeli najpyszniejszy magazyn galanteryjny, — do dziś dnia tam najniezawodniéj pod jego firmą zfrancuziałą istniejący. Wdzięcznym był bardzo Lelewelowi i długo zdawał mu codziennie raport ze zarobku, uważał się za Polaka, lubo rzeczywiście zfrancuział najzupełniéj — a dzieci jego już nic po polsku nie umiały.

Ubolewał Lelewel, że lubo nieraz dał naszym i więcéj i takim co umieli po francuzku i znali nawet rzemiosła — żaden z naszych się nie umiał tak dorobić — i skorzystać z tego prostego a tyle wybornego z żyda owego przykładu.

Lelewel miał bardzo znakomity zbiór monet i medalów, — i nie liczną ale źródłową, z dzieł bardzo rzadkich podręczną bibljotekę, — nie w półkach, ale na kupie na podłodze nasypanych i po wszystkich kątach pokoju, na szafie od sukien i w szafie, w komodzie pokładzione i pochowane. Co się z temi skarbami stało? bo to były skarby co do treści i co do wartości pieniężnéj.

Jak Mickiewiczowi tak i Lelewelowi przysyłano mnóstwo dzieł we wszystkich językach, ze wszystkich części świata. Dzieła tym mężom nieprzydatne mógł brać kto chciał. Niejedno z tych dzieł miałem od Mickiewicza, przez Alexandra Bergiel, z którym żyłem w przyjaźni, a który u Mickiewicza był domowym przyjacielem, — i niejedno dzieło z przysłanych Lelewelowi — mnie się dostało.

Dwa razy do roku ubierał się Lelewel we frak czarny i swe buty ze złotemi kutasikami — te same co miał w Warszawie. Okolicznościami temi był: Nowy Rok z wizytami, z powinszowaniami, — a druga: rocznica listopadowa — na któréj zawsze prezydował.

O ile widział trzeźwo jako uczony i dziejopis lub geograf, o tyle jako człowiek polityczny, mąż stanu — Lelewel był — wielkiem zerem. Dla swych antagonistów był stronniczy, krótkowidny, małoduszny, uparty, mściwy i złośliwy. Tryumfował zawsze z tego, że wszystko przewidział (notabene po wypadkach), — a wielką własną nawet winę spędzał na innych. Jako człowiek towarzyski był bardzo miłym — gdy się kto do niego umiał zastósować; impertynent zaś i kapryśny, gdy go się ze zwykłego życia wykolejowało nie po jego woli.

Dodać zapomniałem jeszcze, że kochał się w czystéj bieliźnie, i praczka nie każda mu dogodziła, a to dziwnie kontrastowało z jego chustką do nosa. **Wł. Chotomski.**

Skrzynka do listów.

Uprasza się autora czy autorkę „Rodziny Węglarza“ o adres bliższy, względem warunków druku tego poematu.

Po złamaniu kolumn i ostatecznéj korekcie przypadkiem dochodzi nas Nr. 137 „Gazety Toruńskiéj“ z dnia 19 czerwca. Korespondent z Poznania, znany nam osobiście, bardzo zdolny ex-redaktor, ale dawniéj zawisły od p. Łyskowskiego Mieczysława, a dziś płacony za swe artykuły przez Dziennik Poznański, ma za słaby już głos i za mało wpływu — więc mu wybaczamy te jego na nas zjadliwe i osobistości naszéj tyczące się wymyślania, — zwłaszcza, że nic a nic nie pisze o teatrze. W przyszłym atoli numerze oddrukujemy ten ustęp w całości, bez żadnych uwag, bo charakteryzuje naszych przeciwników.

Odpowiedzialny redaktor Wilhelm Pohl. — Nakładem E. Calliera. — Czcionkami drukarni L. Merzbacha.
Główny skład w Poznaniu w księgarni Tygodnika Wielkopolskiego, w księgarni K. Reyznera i u M. Leitgebera.